

Henryk Krzysteczko

"La nevrose chretienne", Pierre Solignac, Paris 1976 : [recenzja]

Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne 10, 342-344

1977

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ss. 501—520 bez zaskakujących nowości. Toć zadaniem wzmiankowanego zbiorowego dzieła jest sumaryczny przegląd dotychczasowych badań historiografii polskiej, dokonanych na prapolskiej ziemi śląskiej.

ks. Franciszek Maroń

Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne X (1977)

Docteur Pierre Solignac, LA NÉVROSE CHRÉTIENNE, Paris 1976, Éditions de Trévis, s. 253.

Autor książki pt. *Nerwica chrześcijańska* jest lekarzem z przeszło dwudziestoletnią praktyką lekarską. W książce pragnie dać wyraz swojemu zatroskaniu o wychowanie chrześcijańskie, które, jego zdaniem, bardzo daleko odbiegło od ducha prawdziwie ewangelicznego. Jako zasadnicze pytanie, na które chce odpowiedzieć, stawia sparafrazowane zdanie Chrystusa: Czy kochacie jeden drugiego, jak ja was ukochałem?

Książka składa się z trzech rozdziałów, z czego prawie połowę zajmuje rozdział pierwszy, mówiący o wpływie wychowania chrześcijańskiego na jednostkę. Drugi rozdział mówi o instytucji Kościoła w stosunku do przemian społecznych. Rozdział trzeci — najkrótszy — jest wskazaniem dróg wyjścia z trudnej sytuacji.

Już na pierwszych stronach rozdziału pierwszego spotykamy się z zasadniczą tezą Solignaca, że wychowanie kościelne czyni chrześcijanina niezdolnym do miłowania drugiego, ponieważ pozbawia go miłości własnej. Ze słów Chrystusa wynika, że mamy kochać bliźniego swego jak siebie samego. To znaczy, kto nie kocha siebie samego, ten także i drugiego nie może kochać. Na dowód, że Kościół niszczy miłość samego siebie, autor cytuje zasady, jakimi kieruje się dotychczasowe chrześcijańskie wychowanie: Bóg jest wszędzie; nieustannie mnie obserwuje; widzi moje nawet najbardziej ukryte akty; trzeba nieustannie ze sobą walczyć, bo tylko wtedy dojdzie się do doskonałości; trzeba zapomnieć o sobie samym, o swoich pragnieniach i potrzebach; nie wolno ulegać swoim instynktom i skłonnościom, ponieważ przemawia przez nie szatan, który jest tuż i czyha, by odwieść nas od Boga. Wychowanie chrześcijańskie, oparte na tych podstawach, prowadzi do nerwicy, która jest zaburzeniem psychogennym z objawami konfliktu psychicznego między pragnieniem a zakazem, sięgającym korzeniami swymi w historię dziecięcą jednostki. Konflikt ten pogłębia się na skutek dalszego oddziaływania Kościoła, który domaga się posłuszeństwa od chrześcijan, przy czym dochodzi nawet do utożsamiania woli przełożonego z wolą samego Stwórcy. Stąd im bardziej jest się zaangażowanym w życie Kościoła, tym bardziej jest się ograniczonym i konsekwentnie bardziej narażonym na zgubne oddziaływanie kościelnej instytucji. To zgubne oddziaływanie nie omija również praktykujących lekarzy medycyny, którzy chcą podporządkować się woli Kościoła chociażby w tym przypadku, gdy chodzi o powiedzenie choremu prawdy, która może przyspieszyć śmierć. A ponieważ Kościół każe mówić prawdę, stąd podporządkowanie się temu wymaganiu wpływa niekorzystnie na pacjenta. Jeszcze większą szkodę, niż kurczowo trzymający się zasad Kościoła lekarz, może wyrządzić człowiekowi kapłan w sakramencie pokuty, gdzie ma miejsce infantylny stosunek: kapłan — chory.

Tej praktyce nieliczenia się z wolnością w chrześcijańskim wychowaniu autor przeciwstawia orędzie ewangeliczne, **które** jest w ścisłym tego słowa znaczeniu oswobadzające. Istnieje więc, zdaniem autora, wyraźna sprzeczność pomiędzy Ewangelią a działaniem Kościoła.

Nerwicujące oddziaływanie Kościoła dokonuje się nie tylko na płaszczyźnie duszpasterz — wierny, ale również w relacji Kościół jako instytucja a społeczeństwo. To jest treścią drugiego rozdziału, w którym autor wychodzi od omówienia społeczeństwa patriarchalnego i **matriarchalnego**, opartego na traktowaniu członków wspólnoty przez władzę jako „**moje dzieci**”. Poprzez przedstawienie pozycji króla, który również mówił o poddanych jako o swoich dzieciach, autor przechodzi do omówienia stosunków w Kościele, w którym to nadal panują stare stosunki społeczne, których symbolem jest silnie akcentowana postać Ojca **Świętego**. I chociaż model społeczeństwa się zmienił w ciągu wieków, Kościół pozostał taki sam. Również w samej rodzinie **mamy** do czynienia z nowym modelem „**partnerskim**”, w Kościele natomiast nic się nie zmieniło. Stąd nie trzeba się dziwić, że wierni domagają się zmian. Tutaj autor przytacza sławne powiedzenie *vox populi, vox dei*, przypominające opisy ewangeliczne, kiedy to Duch **Święty** był udzielany nie tylko Apostołom, ale i ludowi. Podaje również przykład ze średniowiecza, konkretnie św. Franciszka, który był dowodem na działanie Ducha **Świętego** najpierw w ludzie, a później dopiero był podporządkowany instytucji kościelnej.

Autor wdaje się w dyskusję teologiczną o śmierci Boga, mówiąc o sekularyzacji i **dechryścianizacji**, zaznaczając, że sekularyzacja nie oznacza dechryścianizacji. Prawdziwy Bóg nie umarł, a jedynie Bóg wymaginowany, czyli bożyszcze. I mówi dalej: człowiek dzisiejsze odrzuca także pojęcie „**boga-policjanta**”. Nietrudno tu jest domyślić się, kto, zdaniem autora, takiego „**Boga**” świata głosi. Są wyjątki w instytucji kościelnej, którzy chcą być bardziej ludźmi, aniżeli tylko władzą. Do takiego wyjątku autor zalicza papieża Jana XXIII. Ale takim wyjątkiem nie jest już papież Paweł VI.

W trzecim rozdziale autor szuka wyjścia z sytuacji, którą opisał. Przede wszystkim postuluje nowe ujęcie miłości własnej, zawarte w następującym zdaniu: „Po przeszło dwudziestu latach praktyki doszedłem do wniosku, że ci ludzie są szczęśliwi, którzy są zadowoleni z samych siebie i którzy lubią swe własne towarzystwo. Prawdziwego szczęścia dostępuje się przez miłość samego siebie. Zdrowy egoista jest szczęśliwym człowiekiem, który respektuje niezależność drugiego”. Ta miłość samego siebie wymaga dużej dozy świadomości, obiektywności i odwagi. Wymaga akceptacji, to znaczy przyjęcia samego siebie ze swoimi zaletami i swoimi brakami, ze swoimi możliwościami i ograniczeniami. Ostatecznie oznacza to przyjęcie pełnej odpowiedzialności za samego siebie, za swoje życie, swoje akty i swoje wybory. Autor postuluje, aby wychowanie bazowało na dialogu, na wśluchiowaniu się w drugiego, wczuwaniu się. Podkreśla, że Kościół jest zgromadzeniem wiernych, w którym jest wielu charzmatyków łączącym się w grupy, z którymi Kościół jako instytucja powinien się coraz bardziej liczyć. Kościół powinien traktować wiernych już nie jak dzieci, ale jak dorosłych. To znaczy, że nie powinien wiernym rozkazywać, jak na przykład próbuje rozkazywać swoim niektórym członkom, aby zachowywali celibat i żyli przez całe życie w samotności.

W epilogu, zatytułowanym *Jezus, człowiek wolny* autor jeszcze raz występuje jako obrońca zniewolonych przez Kościół chrześcijan, którzy cierpią jak Chrystus ukrzyżowany wzywający do miłości. I tak jak autor we wstępie wyszedł od parafrazy słów Chrystusa, tak też swoje rozważania kończy parafrazą Jego słów: „**Mówię ci jedynie to: kochaj bliźniego twego jak siebie samego, i wyjdź**

¹ „Après vingt ans de métier, je suis arrivé à la conclusion que les gens heureux sont ceux qui se plaisent à eux-mêmes et qui aiment leur propre compagnie. Le véritable bonheur passe par l'amour de soi. L'égoïste sain est un homme heureux qui respecte l'indépendance d'autrui”. P. S o l i g n a c, dz. cyt., 184.

ze swojej zgnilizny moralnej, ze swojego egoizmu, z twojego strachu. Nie będziesz już więcej niepokojonym dzieckiem, ale człowiekiem wolnym, synem Człowieka i synem Boga".

Cała nieomal książka ma charakter oskarżenia skierowanego przeciwko Kościołowi. W oskarżeniu tym posługuje się autor metodą, którą sam zwalcza. Zarzuca bowiem Kościołowi, że działa poprzez zastraszanie. Tymczasem sam przyjmuje taką samą taktykę: Jego argumentacja dowodowa polega bowiem na barwnym opisywaniu przypadków osób znerwicowanych, niby to na skutek działania Kościoła. W ten sposób argumentacja jego ma formę zastraszania, co czytelnikowi przypomina ulotki z obrazkiem tiary papieskiej na wzór ośmiornicy silnie obejmującej Kościół swoimi rażącymi prądem mackami. Taka argumentacja na pewno oddziaływała na uczucie i w pewnych kręgach może wywołać nieodpowiednie reakcje w postaci strachu przed Kościołem. W ten sposób nie tyle Kościół, ale sama książka może działać na chrześcijanina **nerwicu-
jąco**, co byłoby zgodne z tytułem książki.

Autor jakkolwiek przez cały czas oskarża Kościół, to jednak nie podaje wyczerpującej argumentacji. Przykłady, jakimi się posługuje, nie mogą stanowić wystarczającego dowodu na stawiane Kościołowi zarzuty, a to dlatego, że:

1) autor lekarz miał do czynienia z ludźmi znerwicowanymi; ludzie ci nie mogą stanowić grupy reprezentującej wszystkich zdrowych chrześcijan będących pod oddziaływaniem Kościoła;

2) w tych wypadkach, w których pacjenci byli znerwicowani, należało dowiedzieć, że znerwicowanie to wynikało ze złego oddziaływania Kościoła. Sam fakt, że znerwicowani byli duchownymi czy „zaangażowanymi katolikami”, jeszcze nie wyklucza, że byli również pod oddziaływaniem innych czynników wychowawczych. Fakt, że ci znerwicowani rzeczywiście nabyli się nerwicy na skutek oddziaływania takiego czy innego przedstawiciela Kościoła, nie oznacza wcale, że ten właśnie przełożony kościelny reprezentował cały Kościół nauczający.

Z punktu widzenia katolickiego błędna też jest teologia, jaką posługuje się autor. Widzi on bowiem działającego Ducha Świętego w ludzkiej Bożym, wyłączając z tego działania hierarchię kościelną. Powołując się na pismo św., ignoruje teksty mówiące o specjalnych zadaniach apostołów Chrystusa. Dalej autor ignoruje historię Kościoła, która jest jednym z dowodów na jego prawdziwość. Również jednym z poważnych błędów jego teologii jest niedostrzeżenie w Kościele, jako całości, elementu boskiego i ludzkiego. Autor nie rozróżnia pomiędzy słabością ludzi piastujących wysokie stanowiska kościelne, a pomiędzy ich ważnymi funkcjami spełnianymi z upoważnienia Chrystusa. Nietrudno bowiem zrozumieć, że zły dyrektor nie jest jeszcze dowodem na to, iż nie powinno być stanowiska dyrektora.

Zarzuty podniesione przeciwko autorowi można wytłumaczyć faktem, że autor jest lekarzem a nie teologiem. Zresztą zastrzega się, że mówi jako lekarz. Można również powiedzieć, że pewne postulaty, jakie kieruje pod adresem Kościoła, nie są błędne, szczególnie wtedy, kiedy mówi o konieczności akceptacji. Poprawne są natomiast wskazówki psychoterapeutyczne. Szkoda tylko, że nie są one zasadniczym trzonem pracy, ale mają charakter raczej dodatku do pracy. Piszący jednak książkę z zakresu teologii i medycyny musi posiadać rozeznanie różności teologii i medycyny. Inaczej dojdzie do błędów, o których była mowa.

ks. Henryk Krzyszczo